Kolega ze szkolnej ławy

Jan Sitko (ur. 1934), nauczyciel chemii w I Liceum Ogólnokształcącym im. 14. Pułku Powstańców Śląskich w Wodzisławiu Śląskim (1958–1987); pochodzi z rybnickiej dzielnicy Niedobczyce.

– Panie profesorze, proszę się podzielić swoimi wspomnieniami na temat szkoły.

– Moja szkolna historia jest dosyć długa. Rozpocząłem tutaj pracę 1 września w 1958 roku – wpierw na etacie nauczyciela stopnia podstawowego, gdyż przeniósł się chemik, prof. Julian Gwóźdź. Kiedy uczyłem matematyki na stopniu podstawowym, po 2 miesiącach zaproponowano mi pracę nauczyciela chemii w liceum im. Karola Miarki w Żorach. I trochę to dowcipnie wyglądało, bo tam nie było nauczyciela, a ja uzupełniałem etat: o ile dobrze pamiętam, wtorki, czwartki, soboty uczyłem w Wodzisławiu, poniedziałki, środy, piątki – w Żorach, a w niedzielę jechałem na zolyty do Katowic. Tak te początki wyglądały. Rok później już przejąłem etat. Byłem początkowo sam jako nauczyciel chemii. W czasie rozwoju szkoły dyr. Franciszek Wajda prosił, by zaopatrywać szkołę w pomoce naukowe – centrala tychże zaopatrzeń była wówczas w Bytomiu. Wybierałem się więc sam, często z uczniami albo z woźnym, pociągiem do Katowic, potem jechałem tramwajem nr 6 do Bytomia; po zamówieniu pomocy szkolnych wracałem tramwajem do Katowic i jechałem dalej do Wodzisławia. W dzisiejszej sali 28, pracowni chemicznej, sprzęt ów można jeszcze zobaczyć.

Czas niezmiernie szybko mijał. Z pierwszymi moimi absolwentami, których byłem wychowawcą, rocznik matury 1963, spotykamy się dosyć często. Przytoczę może pewną ciekawostkę. Z pierwszymi maturzystami różnimy się wiekiem o 11 lat; wówczas oni mieli 14 lat, ja 25. W tej chwili kończę 73 lata, oni 62. Problemy mają już troszeczkę inne...

Wiadomo, w jakich okresach żeśmy żyli – nie ta swoboda panowała, którą obserwujemy dziś. O ile dobrze pamiętam, nauka religii jeszcze była w szkole, gdyż działo się to po wypadkach październikowych z udziałem I sekretarza Władysława Gomółki. Wrócił jednak nacisk, by religię ze szkoły wycofać. Zaprzestano jej uczenia rzeczywiście, o ile dobrze pamiętam, w 1960 roku. Postać w tym okresie znamienna dla Wodzisławia Śląskiego to ks. Józef Jaksik.

Z pracą w szkole związany jest też problem zamieszkania. Budynek, w którym się znajdujemy, potocznie nazywany domem nauczyciela, został oddany do użytku wiosną 1960 roku. Był to wówczas pierwszy blok

mieszkalny na ulicy Szkolnej, naprzeciw znajdował się zaś ładny ogród szkolny – aktualnie zagospodarowany. Czas mijał, klasy się zmieniały. Wprowadziliśmy się tutaj z małżonką, dzieci się urodziły – syn Zbigniew i córka Aleksandra. W klatce, w której w tej chwili mieszkamy, jesteśmy jedyni, którzy otrzymali przydział mieszkalny w 1960 roku. Przydziały kuratoryjne zostały później przejęte przez miasto.

Widok z okna mieszkania Państwa Sitków na fragment gmachu Liceum. Resztę przysłania dziś – nieuchwycony tutaj – budynek Zespołu Szkół Ekonomicznych.

– Rozmawiamy w pokoju, którego okno wychodzi bezpośrednio na ulicę Szkolną – niemal vis-ŕ-vis gmachu I Liceum, pięknie w ostatnich latach wyremontowanego. Jak to jest żyć i mieszkać w tak bliskim sąsiedztwie miejsca pracy?

– Bardzo wygodnie, chociaż zawsze jakieś 20 minut przed dzwonkiem wychodziłem do pracy, nie mogąc się nigdy tłumaczyć, że coś zostawiłem w domu. Przechodzi się koło tej szkoły, wspomina się, jak lata szybko mijają... Na etacie chemika pracowałem 29 lat, potem na pół etatu, jakiś czas jeszcze współpracowałem z zespołami przedmiotowymi. W całości to daje 42 lata pracy.

W latach 60. uczniowie głównie jeździli kolejami państwowymi i tak się składało, że wszyscy na dworcu w Wodzisławiu byli już około godziny 7.00. Przychodziło się do szkoły, w której nauka rozpoczynała się o 7.45. Wyjątkowa to sytuacja, zwłaszcza że po iluś latach kuratorium się nie zgodziło, żeby zaczynać przed godz. 8.00. W początkowym okresie zajęć szkoła o tyle dawała sobie radę, że zajęcia się kończyły w godzinach 13.00–14.00. Wiadomo, że to była szkoła ogólnokształcąca stopnia podstawowego i licealnego, a wówczas w budynku – w jednej z obecnych pracowni chemicznych – znajdowało się także przedszkole. Młodzieży coraz więcej przybywało, więc organizowało się kolejne klasopracownie.

Gdyby natomiast sięgnąć do mojej młodości: kończyłem Szkołę Podstawową nr 2 w Niedobczycach (aktualnie przy ulicy Górnośląskiej). Następnie 2 lata liceum ogólnokształcącego męskiego w Rybniku – klasa VIII–IX (lata 1948–1950). W tym czasie w szkołach ogólnokształcących było więcej młodzieży, dlatego przeprowadzono wojewódzką chyba akcję, polegającą na tym, że część uczniów miała przejść do szkół zawodowych. Zdecydowałem się wówczas, po klasie IX w Rybniku, na liceum pedagogiczne w Raciborzu, gdzie również zdawałem maturę w 1952 roku. Przeszedłem jednak do innego województwa, wtenczas zaś obowiązywały nakazy pracy. Mnie przypadł nakaz do dyspozycji Kuratora Rady Narodowej w Strzelcach Opolskich. Pracowałem w Zawadzkim (obecnie Zawadzkie wciąż istnieje: przejeżdża się drogą na Gliwce – Pyskowice – Dobrodzień). Huta była im. Karola Świerczewskiego (obecnie Huta Andrzej). Mała ciekawostka: raciborskie liceum, które kończyłem, na Opawskiej naprzeciwko więzienia jest; przyjeżdżamy do Strzelec, wychodzimy z pociągu – znowu więzienie... Ponieważ udało mi się uzyskać odroczenie od nakazu pracy, w 1954 roku rozpocząłem studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Stalinogrodzie (Katowice tak się nazywały do roku 1956 – odnowy październikowej; jeden z profesorów dojeżdżających z Gliwic wspominał, że przezorni ludzie zachowali wszak na dworcach tablice z napisem „Katowice").

Moim kolegą ze szkolnej ławy jest katowicki metropolita arcybiskup Damian Zimoń. Nasi rodzice się znali; pochodzili z Niedobczyc, dzielnica Wroncka, długi czas ulica Korfantego – obecnie Janasa. Przez 7 lat w szkole podstawowej w jednej klasie przeżywaliśmy wspólne uczniowskie problemy: rozgrywane partie szachów, mecze piłki nożnej (z braku piłek grało się w szmaciankę), pierwszą wycieczkę górską do Beskidu Śląskiego (Stożek, Barania Góra), rekolekcje dla młodzieży męskiej w Kokoszycach, gdzie spotkaliśmy biskupa Stanisława Adamskiego. Później 2 wspólne lata w Rybniku w męskim liceum. Jak tylko jest okazja, to się spotykamy; zawsze przyjaźnie się do mnie odnosi, pozdrowienia sobie przekazujemy. Zawsze się też do mnie przyznaje – chociażby ostatnio w trakcie obchodów pięćdziesięciolecia. Pamiętam jeszcze czasy, kiedy do Rybnika do gimnazjum się razem jeździło. Miałem te 150 metrów dalej, więc wstępowałem do niego; a nieraz trzeba było biec: przy obecnym boisku, gdzie przechodziliśmy, była wolna przestrzeń – obserwowaliśmy, czy już pociąg nadjeżdża, a często musieliśmy biec. Wówczas w Niedobczycach, gdzie w 1957 roku odbywały się prymicje ks. Zimonia, proboszczem parafii był ks. dr Jan Tomala. W tym roku ks. Arcybiskup obchodzi pięćdziesięciolecie kapłaństwa. A o ile dobrze

WidokAbp Damian Zimoń podczas spotkania opłatkowego z nauczycielami powiatu wodzisławskiego 31 stycznia 2007 roku. Gospodarzem uroczystości był Zespół Szkół im. 14. Pułku Powstańców Śląskich).

pamiętam, początkowo rodziło się w nim zakonne powołanie, zdecydował się jednak na diecezjalne seminarium.

– Czy w waszych wspólnych jeszcze czasach szkolnych, niedobczyckich, pomyślał pan, że przed wami może stać taka przyszłość? Kolega zostaje ordynariuszem katowickiej archidiecezji...

– Arcybiskup, związany bardzo z Krakowem (gdzie znajdowało się niegdyś śląskie seminarium), o ile pamiętam, spotykał się już z przyszłym papieżem, kardynałem Karolem Wojtyłą, który był wówczas wicerektorem seminarium. Kiedy ks. Zimoń został proboszczem w Kościele Mariackim w Katowicach, funkcjonowało tam wtedy niepisane prawo – mówiło się, że pójdzie wyżej. Również moja siostra wspominała, że w Niedobczycach wśród rodziny i u sąsiadów przeprowadzano pewne wywiady. Dochodziły więc słuchy, że szykuje się biskupia posada. Myśleliśmy o funkcji biskupa pomocniczego, ale ostatecznie wielka bomba spadła: mamy ordynariusza po biskupie Herbercie Bednorzu. Ks. Damian Zimoń otrzymał sakrę 29 czerwca 1985 roku w Katowicach; bp Bednorz nie brał jednak w tym wydarzeniu udziału. Biskup Damian Zimoń długo mieszkał zwyczajnie w kurii, dopiero później – chyba po śmierci bpa Bednorza – przeniósł się do pałacu biskupiego. Sekretarzem kurii był jakiś czas absolwent I Liceum, ks. Stanisław Juraszek z Turzy Śląskiej. Ze szkoły zresztą dużo księży w ogóle wyszło. Należy do nich także ks. Michał Kałuża (rocznik matury 1967), który zginął w katastrofie. Choć nie należałoby mówić źle o przeszłości, przyznać muszę, że w tamtych czasach wychowawcy musieli się „tłumaczyć" przed dyrektorem z każdego wychowanka kierującego swoje kroki do seminarium. Kandydaci ci oficjalnie składali teczki na studia innego kierunku. Uczniowie ci nawet nie otrzymywali świadectwa, gdyż wszystko szło przez wychowawcę: arkusze, opinie.

– Rozmawiam z „żywą kopalnią wspomnień" – jak określiła osobę pana profesora małżonka. Czy śledzi Pan losy swoich uczniów, wychowanków?

– Na ile to jest możliwe, oczywiście staram się to czynić. Dobrą po temu okazją są kolejne zjazdy czy spotkania absolwentów; aczkolwiek nie wszystkie roczniki się organizują. Czasami znajomości szkolne niespodziewanie owocują w przyszłości. Gdy miałem kłopoty z oczami i musiałem czekać w kolejkach w naszych ośrodkach, spotkałem jedną z moich uczennic – lekarkę; zwróciłem się więc do niej o pomoc, której chętnie udzieliła. Każda zresztą sytuacja, kiedy uczeń „przyznaje się" do swojego nauczyciela, jest zawsze bardzo sympatyczna. Trudno mi opowiadać o sobie... Najlepiej zrobiliby to moi wychowankowie. Wiadomo, że uczyłem w liceum ogólnokształcącym, a chemia była zaledwie jednym z przedmiotów, jej solidne podstawy należało jednak przekazać. Starałem się każdemu uczniowi dawać szansę i oceniać sprawiedliwie, stwarzałem zawsze dodatkową możliwość zdawania. Godzin chemii nie było zbyt wiele, maturę z niej nie wszyscy zdawali. Do liceum chodziło się wówczas cztery lata – klasy VIII, IX, X, XI. W klasie pierwszej dawałem zatem szansę każdemu, pierwszy semestr rozpoczynałem jakby od zera; kto nie umiał w ogóle, miał okazję się nauczyć. Różnie się dziś młodzież zachowuje... Ale zawsze był problem młodszego pokolenia, relacji młodych do starszych. Kiedyś i tarcze obowiązywały, mundurki. Nie do pomyślenia było, by się ktoś z pofarbowanymi włosami, wymalowanymi paznokciami w klasie pojawił.

– Każde pokolenie ma chyba swoje prawa, a z perspektywy wieku inaczej się na nie patrzy...

– Oczywiście. Mnie jednak trudno się dzisiaj odnaleźć. Niemniej cieszę się, że mieszkam w takiej bliskości szkolnego środowiska – kawał życia mi w tym miejscu zleciał. Trzeba się po prostu w swoim życiu i miejscu odnaleźć. A miejsce bardzo jest dogodne: blisko kościół, centrum miasta również. Zawsze się bowiem przyznawało do wiary ojców. Starałem się też być zawsze niezależny; choć obligatoryjnie byłem członkiem Związku Nauczycielstwa Polskiego, nie należałem ani do PZPR, ani do Solidarności. Kiedy powstawał zresztą ten ostatni ruch, borykałem się z kłopotami zdrowotnymi – przebywałem w szpitalu, przez co z większym dystansem patrzyłem na rozgrywające się wydarzenia. A często, niestety, obserwowało się zjawisko członkostwa dla kariery...

Szkoła obchodzi w tej chwili sześćdziesięciolecie istnienia. W roku 1948 powstała i – o ile dobrze pamiętam – pierwsi maturzyści pojawili się już w 1951. Może to troszeczkę dziwna sytuacja (po trzech latach matura),

lecz były to roczniki powojenne, które miały jedynie rozpoczętą naukę i to nieraz jeszcze przed II wojną światową. Na tableau wiszących aktualnie na korytarzu liceum znajdują się kolejne wykazy absolwentów.

Wśród wybitnych absolwentów pierwszego rocznika jest m.in. wiceminister sprawiedliwości Józef Musioł. Wracając natomiast do okresu rozbudowy szkoły, nie można zapomnieć o budowie obecnej sali gimnastycznej; z kolejnymi klasami w czynie społecznym żeśmy tam pracowali. Zresztą dzisiejszy budynek Zespołu Szkół Ekonomicznych, mieszczącego się za budynkiem liceum, w trzeciej części powstawał właśnie z czynu społecznego. Otwierał go gen. Jerzy Ziętek – postać znana, choć obecnie w różny sposób postrzegana. Podobnie budowało się 3 licealne pracownie, tzw. uniwersalne, oraz pracownie zajęć technicznych, dziś pracownie komputerowe. Wiele było już zmian nauczycielskiej kadry liceum. Taka ciekawostka: obecny śląski kurator oświaty, dr Marian Drosio, historyk, o mało nie byłby wpuszczony do szkoły jako nauczyciel, gdyż nie miał tarczy; wtedy przyszło aż 10 nowych nauczycieli, a zawsze nauczyciele mieli dyżur na korytarzu i sprawdzali uczniów, czy posiadają tarcze – on zaś nowy, młody przyszedł...

Kolejna ciekawostka: liceum to było „wylęgarnią" innych szkół. Tutaj zalążki organizacyjne miała Szkoła Podstawowa nr 3, dziś im. Jana Pawła II; rozpoczynało też tu Liceum Ogólnokształcące nr 1 w Jastrzębiu Zdroju (dyrektorem był Franciszek Piecha) – dziś budynek stojący na ul. Cieszyńskiej; podobnie tu swój początek miało Liceum Medyczne (dyrektor Albert Herman); również zespoły szkół zawodowych, które przeszły do Radlina, wspomniane Liceum Ekonomiczne (dyrektor Zenon Bugiel), liceum dla pracujących.

Przeżyło się troszeczkę różnych czasów. Warte przywołania są liczne wycieczki. Teraz każdy wyjazd musi być szczegółowo zgodny z przepisami, dopracowany. A niegdyś patrzyło się na pogodę; jeśli dopisała, pakowaliśmy się i wyjeżdżaliśmy. Rzecz jasna, nauczyciel brał na siebie odpowiedzialność w dzień i w nocy, przez całą dobę. Długi czas do prowadzenia przedmiotu korzystałem z audycji Polskiego Radia – nagrywałem słuchowiska do

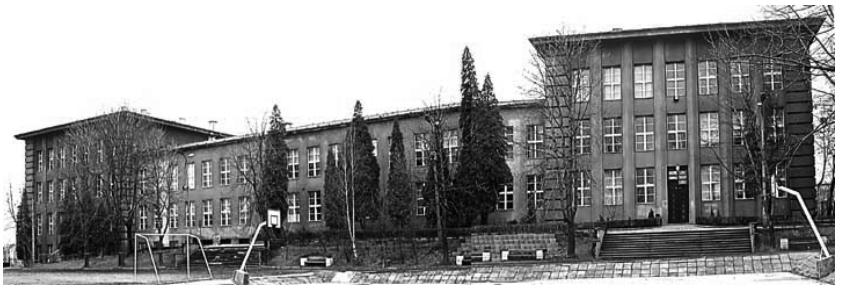

Front szkoły przed remontem.

odtworzenia na lekcji. Prowadziłem też długo Szkolną Kasę Oszczędności.

– Nasza Jubilatka obchodzi sześćdziesięciolecie. Jej absolwenci poszli w różnych kierunkach. Okazuje się, że szkoła była nie tylko „wylęgarnią" innych szkół, ale i „wylęgarnią" powołań; na jej pięćdziesięciolecie, jak wskazywaliśmy, doliczono się około 50 kapłańskich i zakonnych, a niegdyś trudno było przecież dotrzeć chociażby do seminarium. Choć czasy były niełatwe, wspomnienia nasuwają się jednak ciepłe i przyjazne. Czy z własnego, nauczycielskiego punktu widzenia podobnie postrzega pan przeszłość?

– Jako nauczyciele zawsze chcieliśmy dać świadectwo rzetelności – i w postępowaniu w szkole, i na co dzień. Pani prof. Janina Ozimina wspomina, że zdarzyła się jej klasa, gdzie pojawiły się jednocześnie 4 powołania, ale później, kiedy pani Ozimina poszła na urlop macierzyński, klasę przejął I sekretarz PZPR. Dawaliśmy pewien przykład solidności i sumienności, a uczeń już sam musiał dokonać wyboru, zająć określone stanowisko. Jako uczeń podobnie widział to ks. dziekan Bogusław Płonka, o czym przypomniał, odprawiając 8 lat temu (1999) naszą Mszę z okazji naszego czterdziestolecia pożycia małżeńskiego. Człowiek zwyczajnie pragnął dawać przykład – i w szkole, i w życiu poza nią. Nauczyciel, wiadomo, na świeczniku jest, a trzeba być wszędzie, bo świat jest mały. Na przykład rok przed emeryturą, w 1986 roku, przebywaliśmy na wczasach w Szklarskiej Porębie, a tu ktoś mi się kłania... Trochę roczników maturzystów się wypuściło, niektórzy pamiętają do dziś. Kto się chciał uczyć, ten się uczył; często, jak to młodzież, trzeba było przypilnować, przysiąść z nimi. Teraz przed nami jubileusz już sześćdziesiąty.

– Dziś przy charakterystyce szkoły często padają słowa o konieczności przekazywania młodym ludziom korzeni i skrzydeł. Czy podpisze się pan pod tym Herbertowskim mottem? Czy przesłanie to szkoła realizowała na przestrzeni lat?

– Uważam, że jest to jak najbardziej właściwe i trafne sformułowanie. W życiu codziennym nie zawsze człowiek myśli aż tak szeroko, ale gdy się spojrzy z perspektywy minionego już czasu, wniosek płynie jednoznaczny. Pod tym względem w działaniach zgadzało się również grono pedagogiczne, choć różnie działania w zespole mogą przebiegać. Oby tak było dalej. Dyrektor Franciszek Wajda wspominał częstą prawidłowość, że uczeń przerasta mistrza. Należy się więc cieszyć, że podstawy, które ktoś z tej szkoły wyniósł, pomogły mu w realizacji własnych zamierzeń i planów. ■

Rozmawiała Izabela Skrobak.